

GDY CZŁOWIEK NIE MA JUŻ
ABSOLUTNIE NIC DO STRACENIA,
WSZYSTKO STAJE SIĘ
ZNACZNIE PROSTSZE

Pawieł Winahradau

We wrześniu 2022 roku nagle zrobiło się zimno. Dziękowałem wtedy losowi, że mam gruźlicę, bo chorym dawali materac, koc i poduszkę. Innym nie. Bez tego, myślałem, pewnie bym zmarł. Ale jak się później okazało, raczej nie, bo bywałem w jeszcze gorszych miejscach...

Pawieł Winahradau (rocznik 1988)

Fryzjer, bloger i dziennikarz telewizji Bielsat, w której prowadził program satyryczny. Pierwszy raz skazany na karę ograniczenia wolności bez skierowania do zakładu karnego w 2008 roku, gdy brał udział w demonstracjach przedsiębiorców. W grudniu 2010 roku protestował przeciwko sfałszowanym wyborom prezydenckim. W styczniu został zatrzymany, a następnie skazany na cztery lata pozbawienia wolności w kolonii karnej o zaostrzonym reżimie. Wyszedł na mocy amnestii. Po kolejnych sfałszowanych wyborach w 2020 roku uczestniczył w manifestacjach. Zatrzymano go 22 grudnia 2021 roku we własnym domu w Berezynie pod Mińskiem. Oskarżony o organizowanie i przygotowanie działań znacznie naruszających porządek społeczny, podżeganie do wrogości i znieważenie prezydenta Białorusi. Skazany z artykułów 342 i 130 Kodeksu karnego na pięć lat pozbawienia wolności w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Administracja kolonii karnej uznała go za „skłonny do ekstremizmu i innej działalności destrukcyjnej”. Wyszedł na wolność 11 września 2025 roku. Spędził łącznie 467 dni w SZIZO (karna izolotka) i PKT (cela więzienna na terytorium kolonii karnej).

W swoim życiu zajmowałeś się wieloma rzeczami. Działalność polityczna chyba nie była dla ciebie najważniejsza?

Przed tym, gdy mnie posadzili po raz ostatni, pracowałem jako scenarzysta i prowadzący w telewizji Biełsat. Prowadziłem przegląd wiadomości, w którym wyśmiewałem bieżące wydarzenia.

Oprócz tego pracowałem na własny rachunek jako fryzjer. Mieszkałem i pracowałem w Mińsku.

Co ci nie pasowało w białoruskim reżimie?

Krótko? To są po prostu dupki. Ale jeśli chcesz, mogę odpowiedzieć dłużej. Właściwie mógłbym o tym, co mi się nie podoba, mówić cały dzień. To są ludzie z bronią, którzy uzurpują sobie władzę, fałszują kolejne z rzędu wybory i na wszelkie sposoby dręczą własny dobry kraj dobrych ludzi. Hamują rozwój ekonomiczny, społeczny i moralny.

Jest też duża grupa Białorusinów, którzy po prostu żyją i którym władza odpowiada.

Oczywiście, niech żyją, jak im pasuje. Częściowo ich nawet rozumiem. Jeśli im wystarczy to, co mają, wystarczy im ta mała pensja, którą mają, i wystarczy im ten poziom życia, który mają – czemu nie? Nie interesują ich nienamagalne rzeczy, jak prawa człowieka, wolne wybory, praworządność. Nie są to sprawy wymierne, więc ich nie interesują. Ale ja do takich ludzi nie należę.

Jesteś więc dziennikarzem i fryzjerem, aż nadchodzi rok 2020 i represje dotyczą wszystkich, tak?

No nie wszystkich. Represje dotknęły tych, którzy brali udział w protestach, i to nie wszystkich. Jasne, że byli też ludzie, którzy w ogóle w nich nie uczestniczyli, a wylądowali za kratkami.

Jak to?

Po prostu przypadkiem znaleźli się w niewłaściwym miejscu. Przykładowo palili papierosa na ulicy i ich zgarnęli. Znam wiele takich przypadków. Mój znajomy, na przykład, stał koło klatki schodowej, palił papierosa, a obok były protesty. Zaczęły się zatrzymania i też go złapali. Skończyło się na 15 dniach aresztu.

Generalnie jednak, jeśli zostałeś w domu, albo jeśli w ogóle nie interesowało cię to, co się działo w kraju, represje cię nie dotknęły.

Cofnijmy się trochę w przeszłość. W 2008 roku zostałeś po raz pierwszy skazany - za co?

To była „sprawa czternastu”. Protestowaliśmy przeciw zaostreniu przepisów dotyczących indywidualnych przedsiębiorców. Ludzie pracujący na własny rachunek byli właściwie niezależni od państwa i zawsze stanowili zagrożenie dla istniejącego reżimu. Człowieka, który jest ekonomicznie niezależny od państwa, nie bardzo jest jak „nacisnąć”. Inaczej jest w przypadku ludzi, którzy pracują w państwowych zakładach. Jeśli oni zaczynają okazywać niezadowolenie, przychodzą do nich z KGB i mówią: „Nieładnie, zwolnimy was i już nigdzie nie dostaniecie pracy w sektorze państwowym”. Tak szantażowano nie tylko ludzi w fabrykach, lecz także we wszystkich sektorach, bo u nas państwo kontroluje większość gospodarki.

*WŁADZA TO LUDZIE Z BRONIĄ, KTÓRZY FAŁSZUJĄ KOLEJNE Z RZĘDU
WYBORY I NA WSZELKIE SPOSOBY DRĘCZA WŁASNY KRAJ DOBRYCH.
HAMUJĄ ROZWÓJ EKONOMICZNY, SPOŁECZNY I MORAŁNY.*

Tymczasem przedsiębiorcy prywatni to ludzie, ogólnie rzecz biorąc, od państwa niezależni. Żeby być precyzyjnym, powiem: są w mniejszym stopniu zależni niż ci, którzy pracują w państwowych instytucjach. Wszyscy w jakimś stopniu od państwa zależymy. Z punktu widzenia reżimu prywatni przedsiębiorcy są niebezpieczni, bo formy nacisku na

nich są mniejsze. W 2008 roku zaostrzono przepisy podatkowe. Szczerze mówiąc, nie pamiętam już dokładnie jakie – minęło 20 lat¹. I wtedy w jakiś sposób reżim wybrał czternastu szczególnie wyrazistych młodych aktywistów, którzy brali udział w tych protestach. Znalazłem się w tej grupie. I to była moja pierwsza sprawa karna.

Wtedy nie poszedłeś jednak do więzienia. Wyrok zakładał ograniczenie wolności, ale bez skierowania do zakładu penitencjarnego.

Zgadza się. To była kara – według dzisiejszych standardów – bardzo łagodna. Dostałem tylko dwa lata ograniczenia wolności. Rzeczywiście nie trafiłem do więzienia na dłużej, ale spędziłem 15 dni za kratami za wykroczenie administracyjne. Na tym się skończyło. Miałem jednak obowiązki albo się uczyć, albo pracować. Nie miałem prawa bez zgody milicji wyjeżdżać z miasta, nie miałem prawa uczestniczyć w zgromadzeniach masowych, musiałem wracać do domu o określonej godzinie i wychodzić z niego również o określonej porze. Takie ograniczenia – według dzisiejszych standardów – są w zasadzie bardzo lekkie.

Byłeś wtedy przedsiębiorcą?

Nie, wtedy nie byłem przedsiębiorcą. Po prostu działałem w opozycji. Od 2006 roku stale zajmowałem się jakąś działalnością publiczną. W styczniu 2026 roku minęło dokładnie 20 lat, odkąd działałem w opozycji.

Brałeś też udział w kampanii „Mów prawdę!”.

Tak, to było później – w 2010 roku. Przed wyborami prezydenckimi powstała nowa inicjatywa. To był taki świeży powiew, bo jej inicjatorzy działali inaczej niż wszyscy pozostali, mieli nowocześniejsze podejście. Liderem kampanii i kandydatem opozycji na prezydenta był wybitny poeta Uładzimir Niakłajeu – bardzo fajny gość, znany na Białorusi. Postanowiłem do nich dołączyć.

¹ Wprowadzone 1 stycznia 2008 roku dekretem Alaksandra Łukaszenki nowe przepisy nakazały drobnym przedsiębiorcom od 1 kwietnia tegoż roku zatrudniać tylko bliskich krewnych, i to w ograniczonej liczbie trzech pracowników. Zatrudnianie innych osób wiązało się z koniecznością rejestracji jako osoby prawne, ze znacznie wyższymi podatkami (przyp. red.).

Wtedy już cię zatrzymali po akcji protestacyjnej?

Brałem aktywny udział w kampanii wyborczej. W dniu wyborów – 19 grudnia 2010 roku – doszło do protestów. Wtedy mnie nie zatrzymali, udało mi się wrócić do domu. Na początku nowego roku myślałem: święta noworoczne za mną, no to chyba już nikomu nie jestem potrzebny. Spokojnie siedziałem w domu, piłem piwo, oglądałem kreskówki... Ale 5 stycznia 2011 roku zapukali do drzwi. Od razu zrozumiałem, że to milicja. I tyle – zatrzymali mnie i wsadzili za kraty. Dali mi wtedy cztery lata, z czego odsiedziałem osiem miesięcy i dziesięć dni. Wyszedłem na mocy amnestii.

Te ponad osiem miesięcy spędziłeś w kolonii nr 22, czyli w „Wilczych Norach”.

Żadna z białoruskich kolonii nie ma dobrej reputacji, ale jeśli porównać tę z innymi, to w niej było w porządku. Gdyby mnie podczas ostatniej odsiadki jakimś cudem przenieśli w czasie i z tych kolonii, w których byłem, do roku 2011 i do 22. kolonii „Wilcze Nory”, to pomyślałbym, że wyszedłem na wolność. Jedyne, co by mnie dziwiło, to brak kobiet. A tak – ogólnie było tam bardzo lekko w porównaniu z tym, co dzieje się teraz. To było wręcz przedszkole. I nawet teraz, z tego co wiem, w porównaniu ze wszystkimi innymi koloniami, w 22. nadal można się czuć mniej więcej swobodnie.

Swoją drogą, kolonia „Wilcze Nory” znajduje się w niesamowitym miejscu – pośrodku lasu. Jedyne problem latem to komary, bo jest ich dość dużo. A tak: las, śpiew ptaków... Przysięgam, nie mam skłonności do chwalenia białoruskiego reżimu, ale „Wilcze Nory” były niczym bardzo kiepskie sanatorium.

Jak wyglądało życie w takiej kolonii?

Byłem osadzony w ceglany budynku więziennym, który podzielono na cztery części. W każdej z tych czterech części, nazywamy to barakiem, mieszkało w tamtym czasie od 170 do 200 osób. Przestrzeń jest podzielona na sektory. Jest też tzw. przestrzeń lokalna, gdzie skazani mogą spacerować tam i z powrotem, posiedzieć przy stole, pograć w domino. Ta lokalna strefa jest ogrodzona siatką z drutem kolczastym na górze; wszystkie furtki są zamykane. Dalej jest już większy teren – tam znajduje się stadion, na którym można pograć w piłkę nożną. Za nim jest stołówka, do której wszyscy idą w kolumnach, są jakieś budynki administracyjne więzienia oraz przejście do strefy przemysłowej, gdzie skazani pracują. I wszystko

to razem jest dodatkowo ogrodzone podwójnym płotem z drutem kolczastym, wieżami i uzbrojonymi strażnikami na górze.

Z „Wilczych Nor” wypuścili cię po ośmiu miesiącach. Czym zajmowałeś się potem aż do 2020 roku?

Uczestniczyłem w różnych działaniach opozycyjnych, byłem w rozmaitych organizacjach, no i zajmowałem się zawodowo fryzjerstwem. Później poszedłem pracować do Bielsatu.

Jak doszło do tej współpracy?

Ktoś z redakcji do mnie napisał, bo w internecie zobaczył jakiś mój filmik – czasem nagrywałem coś dla zabawy i wrzucałem do mediów społecznościowych. Zapytano mnie: „Pasza, a nie chciałbyś u nas popracować? Może masz jakieś pomysły?”. A ja akurat w tamtym momencie chciałem dla nich pracować i właśnie miałem pomysły. Sam ich nie realizowałem, bo jestem leniwy, i wcześniej nigdzie się nie zgłaszałem. Czekałem, aż ktoś do mnie napisze. No i napisali.

Czy w tamtym okresie, po wyjściu na wolność, miałeś jakieś nadzieje, że coś się zmieni na Białorusi? Na przykład około 2015 roku przed kolejnymi wyborami prezydenckimi?

Nigdy nie straciłem nadziei. Także teraz wierzę, że zmiany są możliwe. Pytanie bowiem nie brzmi, czy ustrój na Białorusi się zmieni, czy nie. On się zmieni na pewno. Pytanie brzmi: kiedy?

Żyjemy w Europie i wierzę, że będziemy kiedyś żyć jak pozostali Europejczycy.

Jesteś pewien, że ustrój zmieni się w dobrym kierunku? Może po prostu przyjdzie drugi Łukaszenka.

Może. Może przyjdzie ktoś jeszcze gorszy – jakiś Pol Pot albo Kim Dzong Un. To jest możliwe. Ale prędzej czy później u nas wszystko będzie dobrze, bo ludzkość się rozwija – wolno, ale w dobrym kierunku.

W 2015 roku na Białorusi nastąpiła pewna „odwilż”: Łukaszenka przestraszył się Rosji po aneksji Krymu, zaczął flirt z Zachodem.

Tak, nastąpiła liberalizacja, odwilż. Zgadza się. Wtedy kandydowała na prezydenta Tacciana Karatkiewicz, którą dobrze znam. Ale zainteresowanie

wyborami społeczeństwa w 2015 roku było żadne w porównaniu z 2020, a nawet z 2010 rokiem.

Dlaczego tak było?

Myślę, że z kilku powodów. Po pierwsze, większość ludzi potrzebuje iść za kimś – chce mieć silnego lidera. W 2015 roku opozycja takiego silnego lidera nie miała.

Po drugie, w 2015 roku sytuacja gospodarcza Białorusi i poziom życia ludzi były całkiem przyzwoite. Było cicho, spokojnie, dało się zarabiać. To jeszcze nie było tak bogate społeczeństwo jak pięć lat później. W 2020 roku bardzo duża część protestujących to byli ludzie zamożni jak na warunki białoruskie. Ludzie zapewnili sobie pewne podstawowe minimum: mieli mieszkania, samochody, dzieci były „urządzone”. Pod względem materialnym mieli wszystko, czego potrzebowali. I wtedy zaczęli myśleć o sprawach wyższych – o godności, o prawach człowieka, o wyborach, o wartościach demokratycznych. Zabezpieczyli bazę i zaczęli domagać się swoich praw, co oczywiście nie spodobało się władzy. W 2015 roku tego zjawiska jeszcze prawdopodobnie nie było – baza materialna była niewystarczająca.

Czy wtedy, w 2015 roku, ludzie myśleli, że Łukaszenka jest jakimś gwarantem bezpieczeństwa Białorusi?

Część ludzi myśli tak nawet teraz. Nie mam skłonności do przesadnego chwalenia władzy, ale częściowo sam też tak uważam. Nie sądzę, że Łukaszenka jest dobrym człowiekiem, ale nie mogę zaprzeczyć temu, że w dużej mierze dzięki niemu nie jesteśmy dziś podmiotem federalnym Federacji Rosyjskiej.

Z drugiej strony Rosja robi wszystko, żeby Łukaszenka czuł się jak gubernator, a nie przywódca państwa.

Zgadza się. Rosja chce nas sobie podporządkować, ale Łukaszenka bardzo tego nie chce. I tu się z nim zgadzamy: nie powinniśmy być częścią Rosji. On uważa, że Białoruś to jego ojcowizna. Ot, to mój kołchoz, ja tu jestem przewodniczącym, wszystko tutaj jest moje. Odpowiadam tu tylko przed samym sobą – po co mi jeszcze jakiś naczelnik? A oddanie niepodległości Białorusi byłoby dla niego tym samym, co pójście do wujka Wołodii i powiedzenie mu: „Proszę, wujku Wołodiu, oto klucze do mojego mieszkania,

a tu masz mój portfel, rób ze mną, co chcesz”. Tego oczywiście nie chce. Taka to właśnie pokrętna sytuacja.

Ale on nie buduje żadnych instytucji niezależnego państwa.

Tu się z tobą nie zgadzam. Uważam, że on to robi – oczywiście robi to źle, ale jednak robi. Stale w swoich wystąpieniach, niezależnie od tego, z jakimi dziennikarzami rozmawia, powtarza: nie, nie zamierzamy wchodzić w skład Rosji, nie jest nam to potrzebne, nie będziemy tego robić. Nikt nie chce odbierać nam niepodległości, a jak zechce, to ja na to nie pozwolę. On bez przerwy mówi: niepodległość, niepodległość, niepodległość. Nie jesteśmy częścią Rosji.

NIGDY NIE STRACIŁEM NADZIEI. TAKŻE TERAZ WIERZĘ, ŻE ZMIANY SĄ MOŻLIWE. PYTANIE NIE BRZMI, CZY USTRÓJ NA BIAŁORUSI SIĘ ZMIENI, CZY NIE? ON SIĘ ZMIENI NA PEWNO. PYTANIE BRZMI: KIEDY?

Na pewnym oddolnym poziomie on też, no może nie on osobiście, ale jego system w jakimś stopniu wspiera język białoruski, tradycje narodowe, święta narodowe. To wszystko schodzi odgórnie – także do małych miasteczek: śpiewamy kolędy, obchodzimy święto Kupały. Są więc elementy, przy pomocy których władza próbuje pielęgnować odrębność od Rosji.

Oczywiście jednocześnie większość ludzi ogląda rosyjską telewizję, a wpływ ekonomiczny, polityczny i społeczny Rosji jest ogromny. Coś mi jednak podpowiada, że Łukaszenka chętnie by się od tego wszystkiego odciął, tylko nie ma wyjścia. Bo odcięcie oznaczałoby utratę tronu. W Europie go nie lubią, a jeśli jeszcze zacznie „pokazywać figę” Rosji, będzie miał poważne problemy. Dlatego jest to rozwiązanie wymuszone.

W Moskwie też go za bardzo nie lubią.

No, nie powiedziałbym. On ma tam jednak całkiem solidne poparcie. Teraz uchodzi za „dobrego sojusznika” i tak dalej. Ale zgoda: Putin go nie szanuje. Łukaszenka dawno już go zmęczył. Putin doskonale rozumie, jak przez wszystkie te lata Białoruś budowała relacje z Rosją.

Osobiście przyklaskuję tej strategii Mińska – i to na stojąco. To naprawdę bardzo sprytny „start-up” autorstwa Łukaszenki. Nazywa się to: „ropa w zamian za pocałunki”. Czyli: wy nam dajecie ropę, a my was kochamy. Dzięki taniej ropie i tanim surowcom energetycznym reżim

tworzy w kraju w miarę stabilne warunki gospodarcze. W istocie utrzymuje się, wysyłając całusy za wschodnią granicę.

Ale jednocześnie pozwala rosyjskiej armii prowadzić operacje ze swojego terytorium.

Oczywiście, że pozwala. Nie sędzę, żeby Łukaszenka był tym zachwycony. Znowu – myślę, że robi to z konieczności, bo nie ma innego wyjścia.

W 2020 roku pojawiły się wielkie nadzieje. Kto był twoim kandydatem w tych wyborach? Kogo chciałeś wtedy widzieć jako prezydenta Białorusi?

Wiktara Babarykę. Zbierałem podpisy pod jego kandydaturą. Nie mogę powiedzieć, żeby Babaryka w pełni mi pasował, ale ponieważ od dawna byłem w opozycji, a jestem – że tak powiem – zawodowym rewolucjonistą, więc jestem bardzo wybredny. Spośród wszystkich wybrałem właśnie jego. Pomyślałem: niech będzie Babaryka, będę mu pomagał. W każdym razie kandydat na prezydenta był dla mnie postacią raczej symboliczną, bo nawet gdyby w ogóle nie było żadnego kandydata na prezydenta, to i tak wychodziłbym na ulicę protestować. Ja nie potrzebuję lidera – sam jestem dla siebie liderem. Sam wiem, co mam robić. Nie potrzebuję żadnych wskazówek. Nie trzeba mi wyznaczać czasu ani miejsca wiecu. Sam wiem, kiedy i gdzie przyjść. Skoro jednak sytuacja jest taka, że ludziom w większości potrzebna jest jakaś konkretna postać, to wybrałem Babarykę.

Co ci się w nim podobało?

To nowoczesny bankier. Człowiek inteligentny, dość sympatyczny w kontaktach i z wyglądu. Historia sukcesu. Ekonomicznie radził sobie bardzo dobrze, wspierał też jakieś projekty społeczne na Białorusi. Taki „dobry człowiek”, powiedzmy. Bogaty, dobry człowiek. Taki miał wizerunek.

Kiedy go nie dopuszczono do wyborów, kogo popierałeś? Swiatłanę Cichanouską?

Nikogo. Popierałem Białoruś. Naród białoruski. Powtarzam: nie ma dla mnie znaczenia, kto jest liderem opozycji. Na wybory nie poszedłem, bo się ukrywałem. Pracowałem w Mińsku, ale mieszkałem w małym mieście – Berezynie w obwodzie mińskim – liczącym 11 800 mieszkańców. Doskonale wiedziałem, że przed wyborami po mnie przyjdą – żeby wsadzić mnie do więzienia jeszcze przed samym głosowaniem. W dniu

wyborów, o ósmej wieczorem, przyszedłem na główny plac Berezyny i utrzymałem się tam 40 sekund. Po 40 sekundach mnie zatrzymali. Doskonale wiedziałem, co się stanie. A gdyby tak nie było, zatrzymaliby mnie jeszcze przed wyborami – przed tymi wszystkimi wydarzeniami. Potem mnie wypuścili. Potem znowu mnie wsadzili. Potem znowu mnie wypuścili.

Opowiedz o tym dokładnie.

Zatrzymali mnie w Berezynie. Najpierw trzymali nas w komisariacie milicji oraz w areszcie tymczasowym. Nawiasem mówiąc, wszystko odbywało się bez przemocy. Berezyna to, jak wspomniałem, małe miasto. Specyfika tej miejsciny polega na tym, że milicja nie „szaleje”. I są ku temu powody. Po pierwsze, wszyscy się tam znają. Zacznieś mnie bić, a ja mogę okazać się twoim krewnym... A nawet jeśli nie, to i tak wiem, gdzie ty, milicjancie, mieszkasz – i mogę spalić ci dom. Tak to tam wygląda. Dlatego nikt specjalnie nie stosuje przemocy. Niektórzy z zatrzymanych mieli nawet swoje rzeczy. Jakieś papierosy, czekoladę. Siedzieliśmy tam dwa albo trzy dni.

*ŻYJEMY W EUROPIE I WIERZĘ, ŻE BĘDIEMY KIEDYS ŻYĆ JAK
POZOSTALI EUROPEJCZYCY.*

Potem zawieźli nas już do dużego aresztu śledczego w Żodzinie, gdzie zwożono m.in. wszystkich zatrzymanych podczas protestów powyborczych w obwodzie mińskim. Tam spędziłem jeszcze dobę, może półtorej.

W pewnym momencie przyszedł jakiś człowiek i zapytał, czy są wśród nas przedstawiciele mediów. Powiedziałem, że nie, choć pracowałem w Bielsacie, bo całkiem dobrze siedziało mi się tam z chłopakami. Głupio mi było ich zostawiać. Dobrze spędzaliśmy czas.

Mógłbym tam jeszcze posiedzieć – wszystkim dali po 15 dni. Następnego dnia zaczęli nas jednak wszystkich wypuszczać. Nie tylko dziennikarzy. Wtedy ówczesny minister spraw wewnętrznych Jurij Karajew publicznie oświadczył, że bierze odpowiedzialność na siebie. Przyznał, że służby mundurowe „trochę przesadziły”. Wielu ludzi zostało zatrzymanych przypadkowo, dlatego teraz wszystkich wypuszczają. I dodał: jeśli więcej nie będziecie uczestniczyć w protestach, o wszystkim zapomnimy.

Odsiedziałem więc wtedy w sumie pięć dni.

Jakie warunki panowały w Żodzinie?

Właściwie było tak samo jak dziesięć lat wcześniej. Stosunek milicji do zatrzymanych był oczywiście gorszy, ale – na szczęście – brakowało im funkcjonariuszy i pracowników placówki praktycznie w ogóle nie widzieliśmy. Z drugiej strony, gdyby – na szczęście tak się nie stało – komuś zrobiło się źle w celi, to po prostu nie byłibyśmy w stanie nikogo zawołać. Nie dało się do nich dobić... Chyba jednak w Berezynie było lepiej, bo przyzwoiciej tam karmiono.

Co było dalej?

Dalej były protesty, protesty, protesty. Brałem w nich udział, bo przecież już tyle lat „jestem w temacie” i jestem rewolucjonistą. Jednocześnie przez cały ten czas nadal pracowałem dla Biełsatu. Latem znowu mnie zamknęli – tym razem w sprawie administracyjnej. I kiedy siedziałem za to wykroczenie administracyjne, wszczęto wobec mnie sprawę karną. Wypuścili mnie po 45 dniach. Z nich przez 30 siedziałem za tabliczkę na moim domu jednorodzinnym, na której czerwonymi literami na białym tle był napisany adres: Internacjonalnaja 28. Uznano to za nielegalną „agitację” – 30 dób. Oczywiście chodziło tutaj konkretnie o mnie, im potrzebny był pretekst, trzeba było mnie za coś wsadzić.

Gdy siedziałem, wszczęli sprawę karną, stąd w areszcie spędziłem jeszcze 15 dodatkowych dni. I wtedy myślałem: jeśli jakimś cudem teraz wyjdę, to od razu wyjadę – dokumenty, pieniądze, zabieram wszystko i wyjeżdżam! Ale czterdziestego czwartego dnia pomyślałem: nie, nigdzie nie pojadę. Nie chcę. Jestem w końcu praworządnym obywatelem – dlaczego miałbym wyjeżdżać? Niech oni wszyscy wyjeżdżają.

Twoja sprawa karna jest wyjątkowo ciekawa, bo reżim skazał cię za post, który właściwie wyrażał dla niego poparcie...

Tak, to był wpis na Facebooku. Skrytykowałem moich przyjaciół z opozycji. Bałem się wręcz, że dadzą mi za to odznakę honorowego działacza BRSM (Białoruski Republikański Sojusz Młodzieży) w komitecie wykonawczym rady miejskiej, ale nie – „nagrodzili” mnie sprawą karną.

O co dokładnie chodziło?

Główne zarzuty dotyczyły słów: „Łuka wpierdolił tutaj wszystkim, którzy krzywo na niego spojrzeli, i tym, którzy wyszli w skarpetkach nie tego

koloru”. Te „skarpetki nie tego koloru” to był prawdziwy przypadek – dziewczyna wyszła do sklepu w białych skarpetkach z czerwonym paskiem i dostała 15 dni aresztu. Słowa „Łuka wpierdolił tutaj wszystkim...” uznano za zniesławienie. Według prokuratury oskarżyłem Łukaszenkę o popełnienie ciężkiego przestępstwa, bo sugerowałem, że on osobiście wychodził na ulice i zadawał ludziom ciężkie obrażenia ciała.

Co zabawne, dwa kolejne zarzuty dotyczyły tego, że mówiłem po fazie represji, iż nie należy wzywać ludzi do dalszych protestów, bo przy tak niskiej frekwencji w praktyce tylko wysyła się ludzi do więzienia. Był taki moment, kiedy fala protestów już opadała i nie było sensu dalej się narażać.

To była ta krytyka opozycji?

Tak, ale moje słowa – że nie należy wychodzić na protesty – państwowy „ekspert” zinterpretował jako... wezwanie do protestów. Napisał, że ponieważ rzekomo posługuję się technikami neurolingwistycznego programowania NLP, to choć pisałem „nie wychodźcie”, w rzeczywistości miałem na myśli: „wychodźcie”. Gdy pisałem, że nie należy wzywać do bicia milicji, ten sam ekspert stwierdził, że skoro – według niego – znam NLP, to mówiąc „nie bijcie milicji”, tak naprawdę wzywam do bicia milicji. To wszystko mam zapisane w akcie oskarżenia. Tak właśnie wyglądała ta sprawa karna.

Wyszedłeś na wolność i nie wyjechałeś z kraju.

Skończył się areszt administracyjny i czekałem na proces. Wtedy na Białorusi władze przyjęły taką taktykę, że ludzie – zwłaszcza osoby publiczne, wobec których zarzuty były zbyt słabe, by nawet według białoruskiego prawa ich skazać – mogli po wypuszczeniu z aresztu, a przed procesem, wyjechać z kraju. Ja jednak pomyślałem, że nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Koniec. Siedziałem i czekałem na ekspertyzy i proces.

Pierwsze opinie biegłych stwierdzały, że nie ma podstaw do postępowania karnego. Byłem zaskoczony – pomyślałem: w Białorusi to jednak możliwe, że państwowi eksperci, i to dwaj, uznali, że w moim wpisie nie ma znamion przestępstwa. Potem jednak „podciągnięto” generała majora Andreja Lisa jako eksperta – wówczas szefa Komitetu Śledczego obwodu mińskiego – i utajniono jego dane jako biegłego. On figuruje w sprawie jako „Iwanow Iwan Iwanowicz”. Poprosił o utajnienie swojego nazwiska, ponieważ – jak twierdził – obawia się o swoje życie i zdrowie. Rozumiem go.

Gdybym ja robił takie ekspertyzy, to też bym się bał o swoje życie i zdrowie. I to właśnie on przygotował tę ekspertyzę, która mówiła o NLP.

Po 45 dniach wyszedłeś na wolność. Pracowałeś?

Nie, już nie. Bielsat – w czasie, gdy siedziałem te 45 dób – został uznany za formację ekstremistyczną. Zajmowałem się tylko fryzjerstwem. Czekałem na ekspertyzy. Przyszedłem do śledczego, zapoznał mnie z materiałami i powiedział, że nie jestem winny. Pytam więc: to co, zamykamy sprawę? A on mówi: nie, sprawy nie zamykamy. Potem do mnie zadzwonił i powiedział, że przyszła nowa ekspertyza – mam przyjechać. Powiedziałem, że tym razem przyjdę tylko z adwokatem. Mówię więc: zadzwonię do adwokata i dam znać, kiedy przyjdziemy. Zadzwoniłem – adwokat mówi: dobrze, jutro. Oddzwaniem do śledczego: jutro. On mówi: dobrze, tylko nie wyjeżdżaj z miasta. Zapewniłem, że nie wyjadę. Minęło jakieś 40 minut i – jak w amerykańskich filmach – do domu wpadają ludzie w kominiarkach, z tarczami i pistoletami. I zabierają mnie z domu do aresztu.

Ale miałeś potem kontakt z adwokatami?

Tak, oczywiście. Na etapie śledztwa nie miałem żadnych problemów w kontaktach z adwokatami. Jeśli trzeba było, przyjeżdżali.

Dokąd cię zabrali?

Najpierw do aresztu śledczego w Żodzinie. Siedziałem tam od 21 grudnia 2020 roku do początku marca. Potem przewieźli mnie do aresztu śledczego w Mińsku. Tam mnie już skazano – jeśli dobrze pamiętam, 16 marca – dostałem pięć lat.

*SŁOWA „ŁUKA WPIERDOLIŁ TUTAJ WSZYSTKIM...” UZNANO ZA
ZNIESTAWIENIE. WEDŁUG PROKURATURY OSKARŻYŁEM ŁUKASZENKĘ
O POPEŁNIENIE PRZESTĘPSTWA, BO SUGEROWAŁEM, ŻE ON OSOBIŚCIE
WYCHODZIŁ NA ULICĘ I ZADAWAŁ LUDZIOM OBRAŻENIA CIAŁA.*

Następnie przewieziono mnie do aresztu śledczego (SIZO) w Baranowiczach, gdzie przez trzy miesiące czekałem na apelację. W Baranowiczach, jak się później okazało, zaraziłem się gruźlicą. Wyszło to na jaw już wtedy, gdy przewieziono mnie do kolonii karnej w Wołkowysku. Tam pierwszego dnia od razu trafiłem do izolatki. Jest taka praktyka, że

więźniów politycznych kieruje się do izolatki już pierwszego dnia, prosto z kwarantanny. Po pięciu dobach izolatki wyszedłem. Miałem już jedno naruszenie, ale nie było komu mnie za nie osądzić, więc wysłali mnie z powrotem na kwarantannę i zaprowadzili do izby chorych. Tam przeprowadzono badania i na zdjęciu rentgenowskim wyszła plama na płucu. Umieszczono mnie w izolatce w oddziale medycznym, a stamtąd przewieziono do kolonii dla chorych na gruźlicę w okolicy Orszy. Tam rozpocząłem leczenie gruźlicy.

Jakie były warunki w tych miejscach?

W Żodzinie, ogólnie rzecz biorąc, było w porządku. Znośne jedzenie, a na etapie aresztu śledczego – kiedy nie jesteś jeszcze skazany – paczki są bez ograniczeń. Było własne jedzenie, można było normalnie się ubrać i w miarę ogarnąć. Oczywiście siedziałem w oddziale o zaostrożonym rygorze. Była tam specyficzna klientela – ludzie, którzy nie pierwszy raz trafiali do więzienia. Ich życie polegało na ciągłym popełnianiu przestępstw.

Jak cię traktowali?

W większości normalnie, a nawet dobrze. Więźniowie to w dużej mierze ludzie obrażeni na władzę. Rozumieli, że jestem po tej samej stronie co oni. Ale byli też tacy, którzy traktowali mnie negatywnie i wcale tego nie ukrywali. Byli to zarówno zwolennicy obecnego reżimu (tacy też są!), jak i tacy, którzy uważali, że to „polityczni” są winni temu, że po 2020 roku pogorszyły się warunki odbywania kary. Po protestach rzeczywiście zaczęto je zaostżać – i oni twierdzili, że to przez nas. Ich zdaniem winna była nie administracja i system, lecz my – bo władze chciały nam zrobić gorzej, a wyszło na gorsze dla wszystkich. Część była przez to obrażona.

Na czym polegało to zaostżenie?

Zakazano przekazów pieniężnych od wszystkich poza najbliższą rodziną, czyli żoną, mężem, dziećmi, rodzicami, siostrami i braćmi. Zaczęto też uważniej kontrolować więźniów i obserwować, czym zajmują się skazani. Z kolonii zniknęły telefony, narkotyki i alkohol. Trudniej było „załatwiać sprawy” za pieniądze czy papierosy. Wprowadzono obowiązek pracy. To wszystko. I oni to właśnie mieli im za złe.

Mówiłeś o Żodzinie. Czy w innych koloniach były inne warunki?

W mińskim areszcie śledczym było więcej swobody. W Mińsku ludzie są bogatsi, więc także w więzieniu żyło im się łatwiej, jeśli mieli wsparcie rodziny. Tymczasem w celi w żodzińskim SIZO po raz pierwszy w życiu widziałem, jak ludzie żyletką rozłupują zapalnik na cztery części, żeby móc jej użyć cztery razy do zapalania papierosów. Taka tam panowała bieda. W Waładarce – czyli w Mińsku – byli już „stołeczni”, zamożniejsi. To oczywiście nie zmienia faktu, że po tygodniu i tak trafiłem do celi z ludźmi, którzy próbowali wyciągnąć ode mnie jakieś informacje. Ale mimo wszystko w mińskim areszcie siedziało się dość łatwo. Dziś Waładarka już nie istnieje – jest zamknięta, powstało nowe więzienie pod Mińskiem. Jak tam jest, nie wiem.

W CELI W ŻODZIŃSKIM SIZO PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU WIDZIAŁEM,
JAK LUDZIE ŻYLETKĄ ROZŁUPUJĄ ZAPALNIK NA CZTERY CZĘŚCI,
ŻEBY MÓC JEJ UŻYĆ CZTERY RAZY DO ZAPALANIA PAPIEROSÓW.
TAKA TAM PANOWAŁA BIEDA.

Natomiast w Baranowiczach warunki były najgorsze ze wszystkich aresztów, w jakich byłem. W nowym budynku było jeszcze jako tako, ale w starym – a to była dawna stajnia – nie powinno się w ogóle przetrzymywać ludzi. Jedna drobna, ale wymowna rzecz: w Baranowiczach skazani nigdy nie myli podłogi w celach. Nie dlatego, że by nie chcieli, tylko dlatego, że podłoga jest stale mokra. Zawsze – o każdej porze roku i dnia. Ona tam po prostu nigdy nie wysycha. Jest ciasno, duszno, wilgotno. Myślę, że to właśnie tam zaraziłem się gruźlicą.

Za kratami miałeś przypisany niski status, najbardziej porównywalny do polskiego „cwela”. Dlaczego, jak do tego doszło?

Kiedy przyjechałem, pierwszego dnia, na wzgórzu niedaleko kolonii zawisły dwie flagi: ukraińska i biało-czerwono-biała. Była też kartka z napisem w stylu: „Winahrad, trzymaj się, jesteśmy z tobą” – taki gest wsparcia. To bardzo nie spodobało się administracji kolonii ani – jak sądzę – GUBOPiK-owi (Główny Zarząd Walki z Przystępczością Zorganizowaną i Korupcją, który pełni de facto rolę policji politycznej poza kolonią), który musiał szukać osób odpowiedzialnych za tę akcję. Nikogo nie znaleźli, przynajmniej z tego, co wiem. Władze kolonii bardzo nie lubią

osadzonych, którzy mają realne wsparcie z zewnątrz. Bo to są osoby, które mogą wokół siebie gromadzić innych. Zostałem więc zidentyfikowany jako ktoś właśnie taki i uznano, że trzeba coś z tym zrobić.

W białoruskich więzieniach i koloniach istnieje taka praktyka, co zresztą przypomina w pewnym stopniu mechanizmy znane choćby z obozów nazistowskich, że są grupy kryminalistów, którzy udają „autorytety”, choć w rzeczywistości współpracują z administracją, i którzy wywierają presję na więźniów politycznych. Żeby mnie odizolować od innych osadzonych – od kontaktów, rozmów, wpływu – zorganizowano prowokację, po której nadano mi tzw. niski status społeczny.

Nie lubię eufemizmów, nazywam rzeczy po imieniu. To jest „pietusznia”, cwelownia. „Pietuchy”, czyli cwele, to najniższa kasta w więziennej hierarchii: geje, pedofile, ludzie uznani za „nieczystych” – coś w rodzaju „nietykalnych” w Indiach – a także wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób z nimi się kontaktują. Do tego dochodzi masa więziennych przesądów, przez które też można do tej grupy trafić.

Jak to wyglądało w praktyce?

Po przyjeździe do kolonii od razu trafiłem do izolatki, potem do izolatki w szpitalnej części. Byłem tam sam, w pełnej izolacji. Podczas chodzenia na zabiegi zwracałem się do miejscowych osadzonych-aktywistów – „aktywu”, czyli „kozłów”, ludzi współpracujących z administracją, pełniących różne funkcje w kolonii. Pytam ich: chłopaki, macie papierosy, chciałbym zjeść słoninę, kiełbasę? Chce się coś zjeść, a ja nic nie mam. Wieczorem tego samego dnia przychodzi do mnie jeden facet i pyta: chcesz jeszcze kaszę? Mówię: nie, kaszy nie trzeba, ale jeśli masz słoninę i kiełbasę, to przynieś. On mówi: „dobra” i wychodzi. Zgodnie z więziennymi „zasadami”, jeśli ktoś należy do tej najniższej kasty, to przed jakąkolwiek interakcją musi uprzedzić, kim jest. Zwłaszcza jeśli chodzi o jedzenie – od takich ludzi nie wolno nic brać. On mnie nie uprzedził, choć miał taki obowiązek. Następnego dnia przyszedł i zapytał, czy wezmę paczkę wafli. Zgodziłem się. Wszedł z wafkami, a chwilę później przyszedł główny magazynier-aktywista, przyniósł mi moją torbę. Wyjąłem papierosy, wymieniliśmy się. On dał mi wafle, wziął papierosy i wyszedł. Po dwóch sekundach wchodzi magazynier i mówi: wiesz, od kogo to wzięłeś? Mówię: nie. Od „pietucha”. I koniec – drzwi zamknięte na klucz. Pomyślałem wtedy: no ładnie, ciekawie. Ale uznałem, że to jakaś głupota, przypadek. Gdyby taka sytuacja

wydarzyła się w 2011 roku, według ówczesnych zasad więziennych nic by się nie stało. Sprawa byłaby banalna: on mnie nie uprzedził, ja nie wiedziałem, moje słowo przeciwko jego i w takiej sytuacji zawsze wierzy się temu, kto nie jest „pietuchem”. Byłem przekonany, że wszystko da się łatwo wyjaśnić. Nie wiedziałem jednak, jak bardzo zmieniły się porządki. W 2011 roku za coś takiego wszyscy uczestnicy tego spisku – i „autorytety”, i „pietuchy”, i „kozy” z sanitarnej części – trafiliby do szpitala z ciężkimi obrażeniami. Byłoby to uznane przez więźniów za absolutne bezprawie, za które grozi ostra kara fizyczna.

*W BIAŁORUSKICH WIĘZIENIACH I KOLONIACH SĄ GRUPY
KRYMINALISTÓW, KTÓRZY WSPÓŁPRACUJĄ Z ADMINISTRACJĄ
I WYWIERAJĄ PRESJĘ NA WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH.*

Ale okazało się, że teraz jest inaczej. Przyszło trzech ludzi, którzy udawali kryminalne autorytety. Jeden przedstawił się nawet jako „nadzorca ścisłego reżimu więziennego w Republice Białorusi”. Odkryło się „rozpatrzenie sprawy”. Trzymałem się swojej wersji, ale ów „sąd” wydał werdykt: od teraz jesteś „pietuchem”.

Co się zmieniło w twoim życiu?

Zmieniło się bardzo dużo. Od razu przenieśli mnie do innej celi, czyli „pietuszni”. „Pietuchom” żyje się zasadniczo bardzo ciężko. Ponieważ to najniższa kasta, to zawsze są ostatni w każdej kolejce. Muszą wszystkich przepuszczać: w drzwiach, na korytarzu – cały czas usuwać się z drogi. Nie mają prawa jeść w stołówce, bo to natychmiast oznacza konflikt, a na pewno bójkę. Oni mają osobne stoły. Nie mogą też prowadzić żadnej „działalności gospodarczej” z innymi osadzonymi: żadnych wymian, np. papierosów na jedzenie. To są po prostu „istoty najniższej kategorii” – trudno to inaczej wytłumaczyć.

Trzeba też zrozumieć, że wszyscy osadzeni boją się trafić do „pietuszni”. W 99 procentach przypadków, jeśli administracja stawia wybór: albo idziesz do „pietuszni”, albo dokładamy ci rok czy dwa wyroku, ludzie wybierają dodatkowy wyrok. Byle nie trafić tam. Bo tam są też „specjalne” prace: sprzątanie toalet, wynoszenie śmieci po wszystkich – rzeczy najbardziej pogardzane.

Na początku było mi bardzo ciężko, ale potem zrozumiałem coś ważnego. W praktyce inni osadzeni zaczęli odnosić się do mnie lepiej niż do przeciętnego więźnia kolonii. Wielu podchodziło i mówiło: „Pasza, my wszystko wiemy. Wiemy, jak to było, wiemy, kto to zrobił i dlaczego. Spokojnie, wszystko jasne. Tak, mamy tu swoje zasady i ograniczenia”. Oni byli świadomi sytuacji. A potem, gdy widzieli, jak mocno administracja na mnie naciska i że nie udaje się jej mnie złamać – że ja dalej się trzymam – pojawił się szacunek. Wielu ludzi w tej kolonii dawno by się złamało, a ja nie. Zaczęli mnie przepuszczać w drzwiach, pomagać. Gdy wyszedłem z izolatki, ktoś zaoferował pomoc. Mimo że administracja próbowała z tym walczyć i groziła izolatką każdemu, kto się ze mną kontaktował. Ostatecznie moja odsiadka przebiegła względnie w porządku. Z innymi bywało bardzo różnie.

Mówiłeś, że bardzo często trafiałeś do izolatki. Pod jakim pretekstem?

Niezapięty guzik, zarost, brak powitania, źle sporządzony spis rzeczy, zeszyt pod materacem, cukier w szafce, sen w ciągu dnia – cokolwiek.

Siedziałem w wielu izolatkach. W ciągu prawie czterech lat odsiedziałem w nich w sumie 467 dni – to ponad rok. Więcej niż ktokolwiek, kogo znam.

Jakie tam były warunki?

Czasem było normalnie: ciepło, jasno, czysto, sucho, działała kanalizacja. Oczywiście, pomijając sam fakt, że siedzisz w izolatce. A w innych miejscach było gorzej. Pamiętam Orszę, gdy byłem chory na gruźlicę. Latem było znośnie. Ale gdy tylko się skończyło, we wrześniu 2022 roku, nagle zrobiło się zimno. I pamiętam, że dziękowałem losowi, że mam gruźlicę – bo chorym dawali materac, koc i poduszkę. Innym nie. Bez tego, myślałem, pewnie bym zmarł. Ale jak się później okazało, raczej bym nie umarł, bo bywałem w jeszcze gorszych miejscach.

Był okres, gdy z 210 dni aż 189 spędziłem w izolatce – w Wołkowysku. Ciemno, wilgoć, podłoga po umyciu schła cztery–pięć dni. Dwa razy zbierałem grzyby pod umywalką – tak było mokro.

Gdy żona zobaczyła mnie po tych miesiącach spędzonych w izolatce, to po widzeniu rozplakała się. Byłem ponoć zielony na twarzy – tak mi potem mówiła.

Bywało tak zimno, że nie dało się spać. Leżenie oznaczało drżenie z zimna. Całą noc chodziłem tam i z powrotem, robiłem pompki, przysiady. Rano dawali śniadanie, ciepłą herbatę – wtedy można było się na chwilę położyć.

Miałeś wtedy widzenia z żoną?

Tak. Administracja w Wołkowysku stosowała metodę „kija i marchewki”. Chcieli, żebym z nimi współpracował, i wykorzystywali do tego izolatki. Po konflikcie z trzecią osobą w systemie penitencjarnym Republiki Białorusi i jednym z głównych operacyjnych funkcjonariuszy w kraju zaczęły się moje „przygody”. To nie tyle, że ja się z nim pokłóciłem, tylko pożartowałem, a oni bardzo nie lubią, jak się z nimi żartuje, więc zapisał mnie do swojej czarnej książeczki. To wtedy siedziałem te 189 dni. Przystali do mnie osadzonego z propozycją. Chcieli mnie przenieść do innej kolonii, ale do tego potrzebny jest wyrok z artykułu 411. Mieli mi zaproponować jakieś sprzątanie łopata, ja miałem odmówić, na tej podstawie mieli mnie skazać. Miałem poprosić też o przeniesienie do innej kolonii i wtedy obiecywali jedynie pół roku kary, widzenie i paczki. Jeśli odmówię, i tak będzie artykuł 411, ale dadzą rok i żadnych widzeń. Odpowiedziałem, że nie zamierzam im pomagać w popełnianiu przestępstwa. To im się nie spodobało, dlatego trafiłem do izolatki.

BYWAŁO TAK ZIMNO, ŻE NIE DAŁO SIĘ SPAĆ. LEŻENIE OZNACZAŁO DRŻENIE Z ZIMNA. CAŁĄ NOC CHODZIŁEM TAM I Z POWROTEM, ROBIŁEM POMPKI, PRZYSIADY. RANO DAWALI ŚNIADANIE, CIEPŁĄ HERBATĘ – WTEDY MOŻNA BYŁO SIĘ NA CHWILĘ POŁOŻYĆ.

Później zrozumieli, że nie mogą mi wlepić artykułu 411, bo nie odmawiałem pracy. Zaproponowali sprzątanie śmieci – więc poprosiłem o największą łopatę, bo u mnie kompost na podwórku śmierdzi gorzej, i poszedłem robić. Ale następnego dnia znów byłem w izolatce.

Zrozumieli, że nie mam zamiaru się poddawać i śmieją się z nich ludzie w kolonii, bo nie mogą złamać tego cwela. Chodzi różowy, uśmiechnięty, bez ranki na twarzy... A oni ponoć takich ludzi łamią w 40 sekund, pokonali „autorytety kryminalne”, a mnie nie.

W końcu, gdy nic nie działało, dali mi widzenie z żoną. Przekazano jej, żeby mnie przekonała, bym „przystał się stawiać” i przyznał do

winy. Ona mi to przekazała i powiedziała: „Jestem z ciebie dumna. Rób, jak uważasz”.

I co zrobiłeś? Przestałeś się stawiać?

Ni chuja. Po widzeniu znów trafiłem do izolatki (śmiej).

Czy w koloniach pracowałeś w strefie przemysłowej?

Tak. Przez te cztery lata w dwóch koloniach albo 60, albo 61 dni spędziłem w oddziale, to znaczy nie w izolatce, nie w więzieniu, tylko normalnie w kolonii. I przez część tego czasu pracowałem. Przez trzy dni sprzątałem toalety w strefie przemysłowej. Pracowałem też przy czyszczeniu miedzianego drutu z izolacji. A trzeci, „najciekawszy” rodzaj pracy polegał na robieniu plastikowych kwiatów do wieńców cmentarnych, które trafiały do Federacji Rosyjskiej. Jak się domyślaliśmy, były to kwiaty na groby rosyjskich żołnierzy. Oczywiście nie wiemy na sto procent, dokąd dokładnie te kwiaty trafiały, ale zamówienia były ogromne, ciężarówki regularnie wyjeżdżały z tymi kwiatami. Obok nich stały inne ciężarówki z drewnianymi skrzyniami na amunicję, które robili inni osadzeni – również na potrzeby Federacji Rosyjskiej. Oczywiście to były tylko skrzynie na amunicję. Gdyby dali więźniom robić same pociski, wszystko by tam wybuchło. Skrzynie nie były robione w jednej kolonii – było kilka kolonii, w których produkowano skrzynie na naboje i na pociski.

Skąd dowiadywaliście się, co dzieje się na świecie? W czasie twojego pobytu za kratami wybuchła na przykład wojna na pełną skalę.

Z widzeń z żoną, jeśli zaś udawało się spotkać z adwokatem, to od niego człowiek mógł się czegoś dowiedzieć. Czasem jakieś informacje przełykały w listach. Czasem ktoś wracał z długiego widzenia i przynosił nowiny – potem wszyscy sobie to przekazywali. Coś można było zobaczyć w telewizji: jasne, że to była propaganda, ale jeśli umie się patrzeć, można było niejedno wywnioskować. Można było też prenumerować gazety – oczywiście państwowe, ale jeśli potrafi się czytać między wierszami, dało się coś zrozumieć.

W Wołkowysku, w ściślejszej tajemnicy, łapano polskie stacje radiowe – dzieliło nas około 40 kilometrów od polskiej granicy. Nie wiem dokładnie, jakie to były stacje, ale radio było. Mnie na te „imprezy” nie zapraszano, bo byłem pod stałą obserwacją, cały czas ktoś pilnował, gdzie jestem. A to

wszystko było nielegalne – słuchanie tego radia. Dlatego mnie tam nie zapraszali. Potem ludzie mówili: słyszeliśmy w radiu, że wydarzyło się to, to i to. Takie właśnie były nasze źródła informacji. Potem, po tym jak byłem już w kolonii w Wołkowysku, dali mi widzenie.

„NAJCIEKAWSZY” RODZAJ PRACY POLEGAŁ NA ROBIENIU PLASTIKOWYCH
KWIATÓW DO WIENCÓW CMENTARNYCH, KTÓRE TRAFIAŁY
DO FEDERACJI ROSYJSKIEJ. JAK SIĘ DOMYŚLAŁISMY,
BYŁY TO KWIATY NA GROBY ROSYJSKICH ŻOŁNIERZY.

Później zrozumieli, że nie działa ani kij, ani marchewka, więc postanowili całkowicie mnie odizolować i wysłali na reżim więzienny. Jeśli ktoś „nie przyjmuje się” w kolonii, jeśli – zdaniem administracji – nie potrafi tam funkcjonować, to zostaje uznany za „złego” i wysłany do więzienia. Po to, żeby odgrodzić go od innych grubą warstwą betonu i żelaza.

To było PKT, pomieszczenie typu więziennego?

Nie, to już nie PKT. PKT jest wewnątrz kolonii. To też izolacja na jakiś czas. Natomiast jeśli na ciebie żadna z kar w kolonii nie działa, wysyłają cię już do więzienia. I niektórych politycznych tam wysyłano – takich, od których nie mogli wymusić szczególnego posłuszeństwa i uległości, albo takich, na których było „zamówienie” z wolności, od jakiegoś GUBOPiK-u albo KGB. Mnie też wysłali do więzienia do Grodna na rok. Tam administracja i służby próbowały różnymi sposobami nakłonić mnie do przyznania się do winy, czyli do napisania prośby o ułaskawienie, i w ogóle do „prostszego” zachowania. Jak mówił mi naczelnik wydziału operacyjnego: „Pasza, my musimy wysyłać raporty do Departamentu Wykonywania Kar. Musimy pokazać, jaką pracę z tobą wykonaliśmy. Trzeba coś z tym zrobić”. Ja odmawiałem, więc siedziałem w izolatkach, a w celach tworzone mi niekomfortowe warunki, wykorzystując do tego współosadzonych. Były ograniczenia: nie wpuszczano do mnie adwokata, moje listy ciągle gdzieś ginęły.

Ten niski status, on przeszedł z tobą dalej?

Tak, oczywiście. W więzieniu siedziałem w tzw. celach dla cweli – uważa się je za najbardziej dzikie, najgorsze, bo siedzą tam ludzie, którzy nie mają już nic do stracenia. Zrozumiałem, że gdy człowiek nie ma już absolutnie

nic do stracenia, wszystko staje się znacznie prostsze. To pomogło mi przyjąć postawę: ani kroku wstecz. Jeśli wcześniej miałem jeszcze lęki przed trafieniem do „pietuszni”, to ostatecznie one zniknęły. Ja już tam jestem – koniec. Nic mi już nie zrobią.

Mówiłeś, że „niekomfortowe warunki” tworzono przy współudziale innych więźniów. Na czym to polegało?

Na nieustannej grze nerwów. Siedziałem w celi z człowiekiem, który był chory psychicznie, agresywny i jednocześnie pracował dla milicji. Były momenty, gdy bałem się zasypiać obok niego w celi. Byliśmy tylko we dwóch. Cokolwiek by nie robił, jakkolwiek by się nie zachowywał – jego nigdy nie wsadzali do izolatki, bo wszyscy wiedzieli, że ma zadanie: obserwować mnie i stale wywierać na mnie presję psychiczną. Z tym człowiekiem spędziłem chyba około dwóch miesięcy. I jak już mówiłem, były chwile, kiedy po prostu bałem się spać z zamkniętymi oczami – spałem dosłownie „na jedno oko”, żeby nie rzucił mi się na szyję.

To był jeden taki przypadek?

Nie. Przez ten rok w każdej celi byli ludzie, którzy mieli polecenie od administracji, aby nieustannie mnie dręczyć i działać mi na nerwy. Zresztą wszyscy oni się do tego przyznawali. Ten, z którym bałem się spać, powiedział mi to już trzeciego dnia, gdy nasze relacje były jeszcze w miarę normalne. Potem po prostu „odjechał”.

Grodno to było twoje ostatnie uwięzienie?

Nie. Po roku skończył się mój reżim więzienny i wysłali mnie z powrotem do Wołkowyska. Tam trafiam na kwarantannę. Przychodzi do mnie osadzony i mówi wprost: „Przysłali mnie do ciebie, żebym cię sprawdził, dowiedział się, jak się masz. Czy coś się w tobie zmieniło, w twoich poglądach?”. Odpowiedziałem, że nic się nie zmieniło – jest tylko gorzej. On na to: „Nie wątpiłem w ciebie”. Powiedział jeszcze: „Pasza, jeśli czegoś potrzebujesz – mów”. Trzy dni później byłem już w izolatce. Siedziałem tam miesiąc, potem mnie wypuścili.

Chcieli urządzić mi prowokację. Zresztą wcześniej też to robili. Ja już tych wszystkich ludzi rozpoznawałem: widziałem, kto mnie obserwuje, kto składa mi dziwne propozycje. Ostatnia taka sytuacja wyglądała następująco: znowu nie pozwolili mi zadzwonić, bo „zaginał” mój wniosek

o telefon. Jak zwykle „zaginął”. Wiedziałem, że zaginie, ale i tak zawsze pisałem. I wtedy podchodzi do mnie jakiś człowiek i mówi: „no i co, zadzwoniłeś? Nie? Mogę rozwiązać twój problem. Mam telefon komórkowy”. A ja rozumiem, że podchodzi do mnie mało znany facet i proponuje telefon mało znanemu „pietuchowi”, a w kolonii nie ma telefonów. On rzekomo ma telefon, ale nie ma papierosów i bardzo chce zapalić. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Nie wiem, co by było, gdybym się zgodził. Co byłoby w tym telefonie? Pornografia dziecięca? Coś jeszcze? A może materiały wybuchowe? Albo jakaś „korespondencja”, która pojawiłaby się w momencie, gdybym wziął ten telefon do ręki. Oni bardzo chcieli wszcząć przeciwko mnie niepolityczną sprawę karną. Bo zanim wysłali mnie na reżim więzienny, był jeszcze inny człowiek, który uporczywie proponował mi wniesienie do kolonii sprzętu szpiegowskiego, żeby nagrać coś na terenie obiektu o zaostrowym rygorze. Nie wiem, ile za to grozi – 10 lat, może więcej. Z tym człowiekiem zacząłem się bawić i on to zrozumiał. Zrozumiał, że ja zrozumiałem, a potem podszedł i powiedział: „No dobra, Pasza. Jak mnie rozgryzłeś? Gdzie się pomyliłem? Pieprzyć to, powiedz” (śmiej). Potem administracja kolonii zobaczyła, że znowu nic na mnie nie działa. Stałem się dla nich jeszcze większym problemem. I wysłali mnie ponownie do więzienia w Grodnie – znowu na reżim więzienny.

Gdy byłeś w Grodnie, zostałeś deportowany. Miałeś jakies przecucie, że to nastąpi?

Podejrzewałem to od momentu, w którym, w czerwcu 2025 roku, wypuścili Siarhieja Cichanouskiego. Kiedy go deportowano, zrozumiałem, że we wrześniu trzeba pakować walizki. Miałem wewnętrzne przekonanie, że wtedy wyjdę. Prawda, sądziłem wówczas, że nie ja jeden wyjdę, tylko wszyscy. Oczywiście brałem pod uwagę także inne warianty, w tym deportację.

GDY CZŁOWIEK NIE MA JUŻ NIC DO STRACENIA, WSZYSTKO STAJE SIĘ PROSTE. TO POMOGŁO MI PRZYJAĆ POSTAWĘ: ANI KROKU WSTECZ. HAMUJĄ ROZWÓJ EKONOMICZNY, SPOŁECZNY I MORAŁNY.

I tak 4 września dali mi kolejny wyrok z artykułu 411. Wsadzili mnie do celi dla osób objętych nowymi postępowaniami. Siedziałem tam, dostałem kilka paczek. I nagle wyciągają mnie razem z rzeczami.

Prowadzą mnie gdzieś – myślałem, że to zwykły transport. Nie. Prowadzą do działu przeszukań osadzonych. Zaczynają dokładnie sprawdzać wszystkie moje rzeczy. Mówię do funkcjonariuszy: „Dokąd mnie wiozą?”. Oni odpowiadają: „Pasza, my nie wiemy. To ty nam powiedz, dokąd ciebie wiozą”. Dzieje się coś zupełnie niezrozumiałego. Myślę: „No nieźle”. Przeszukali wszystkie moje rzeczy, założyli mi worek na głowę, wsadzili do samochodu i wywieźli. Rozumiałem, że są tylko dwa warianty: albo wiozą mnie na granicę, albo do aresztu śledczego KGB w Mińsku. Jedziemy długo, więc rozumiem, że jadę do Mińska. Tak też było – trafiłem do aresztu śledczego KGB. Tam znalazłem się w celi z jeszcze dwunastoma więźniami politycznymi, spośród których większość znałem. Między sobą zaczęliśmy to omawiać i stało się w miarę oczywiste, że nas deportują, bo zebrali w jednym miejscu takich „topowych obywateli” – swoiste „gwiazdy” wśród opozycjonistów. Zebrali nas w jednej celi. Zrozumieliśmy, że nas deportują, tylko nie wiedzieliśmy, kiedy to nastąpi. Ja wszystkim mówię: „Jutro nas deportują. Nie martwcie się”. I tak się stało. Wsadzili nas do autobusów i zawieźli na granicę.

Opozycjonista Mikołaj Statkiewicz z waszej grupy został na Białorusi. Odmówił wyjazdu. Co o tym myślisz?

Świetnie. Świetnie. Sam chciałem zrobić to samo.

Ale tego nie zrobiłeś.

Tak. Obiecałem żonie, że wyjdę we wrześniu. I wyszedłem we wrześniu.

Ale czy to w ogóle ma sens: zostać, żeby znowu trafić za kraty?

Oczywiście. Statkiewicz w więzieniu może demonstrować swoją postawę obywatelską. I swoją niezłomność. Może pokazywać, że wciąż są ludzie gotowi trzymać flagę. Że są ludzie, którzy się nie boją, którzy idą na czele i na których można się wzorować. To bohater.

Czym chcesz się zajmować na Litwie?

Po pierwsze, chcę opisać wszystko to, co mi się przydarzyło, w jakiejś formie. Czy to będzie wideoblog, książka, komiks czy coś jeszcze innego – nie wiem. Ale chcę to jakoś zrobić, bo nigdy w życiu nie miałem tyle „materiału” co teraz. Mam naprawdę ciekawą, dobrą historię. Mogę pisać, mam pomysły na projekty wideo.

Poza tym chcę zostać w zawodzie i znowu strzyc. W zasadzie bardzo mi się to podoba. Nawet nie samo strzyżenie, ale ten krąg klientów, którzy do mnie przychodzili. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nikt nigdy nie przychodził do mnie po „dobrą fryzurę”. Przychodzili, bo ja to Pasza Winahradau. Bo jestem kimś tam, jakimś „rewolucjonistą”, bo ze mną miło było porozmawiać. Dlatego przychodzili. Wszyscy moi klienci to byli „najlepsi ekstremiści i terroryści” Białorusi. Wszyscy moi byli klienci.

Myślisz, że za granicą masz jakiś wpływ na sytuację na Białorusi?

W tej chwili nie. Nie mam wpływu nawet na to pomieszczenie, w którym się znajduję. Nie mam dokumentów. Mam jednak przekonanie, że jeśli uruchomię jakiś medialny projekt, to będę miał wpływ. Już teraz, gdy daję tu wywiady, dostaję sporo informacji zwrotnej bezpośrednio z Białorusi: „oglądaliśmy”, „świetnie!”, „co tam u ciebie?”. Jasne, że tego wszystkiego jest teraz znacznie mniej – dziesiątki razy mniej niż w 2020 roku. Ale nic nowego. Już to przechodziłem. Przed wybuchem w 2020 roku – w 2017, 2018, 2019 – było dokładnie tak samo. Wszystko i tak idzie falami.

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.